

# GRAHAM MASTERTON

## ROOK

Widzenie duchów to śmiertelna  
odpowiedzialność.

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
ROOK

Copyright © Graham Masterton 1996  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Zbigniew A. Królicki 1997, 2025

Korekta: Dorota Jakubowska, Sabina Raczyńska

Projekt graficzny: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce i stronie tytułowej: Freepik

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com  
wydawnictwoalbatros.com



ALBATROS

WEST GROVE COMMUNITY COLLEGE  
II KLASA SPECJALNA

Greg Lake	Amanda Zaparelli	Sue-Robin Caufield	Seymour Williams
Sherma Feldstein	pusta ławka	Russell Gloach	Sharon X
Beattie McCordic	Ray Vito	Elvin Clay	John Ng
Mark Foley	Ricky Herman	Muffy Brown	Tee Jay Jones
David Littwin	Rita Munoz	Titus Greenspan III	Jane Firman

Jim Rook  
nauczyciel języka angielskiego,  
wychowawca klasy specjalnej

# ROZDZIAŁ I

Jim Rook usłyszał krzyki i gwizdy na korytarzu na moment przed tym, zanim przerażona Muffy wpadła jak bomba do klasy, wołając:

– Oni się pozabijają! Panie Rook! Oni się pozabijają!

Upuścił flamaster, zerwał się, wywracając krzesło, i skoczył do drzwi.

Muffy złapała go za rękaw.

– Musi ich pan powstrzymać! Zupełnie oszaleli!

Pobiegł korytarzem do męskiej toalety, przed którą zebrało się dwadzieścioro kilkoro uczniów, wrzeszczących, gwizdzących i łomoczących pięściami w drzwi szafek.

– Zejdźcie mi z drogi! – krzyknął Jim i przepchnął się przez tłum do toalety.

Na drugim końcu pomieszczenia bili się dwaj czarni siedemnastoletni chłopcy. Jeden z nich – wysoki i dobrze zbudowany – zepchnął drugiego pod umywalki i tłukł jego

głową o lustro. Krew płynęła im obu z nosów, opryskując ścianę jak farba w aerozolu.

Jim złapał wyższego z nich za koszulkę przy szyi i obrócił go twarzą do siebie. Twarz chłopaka przypominała maskę: spocona, zalana krwią, z wytrzeszczonymi oczami. Oszalały z wściekłości, ledwie zdołał wybełkotać:

– Puść mnie, człowieku, ja muszę... No puszczaaj! Zabiję go! Obraził mnie!

– Tee Jay! – wrzasnął Jim.

Chłopak usiłował się wyrwać, ale Jim jeszcze mocniej chwycił jego koszulkę, niemal go dusząc. Potem przycisnął chłopca do wyłożonej kafelkami ściany i spojrzał na niego najgroźniej, jak potrafił.

– Tee Jay, co, na Boga, w ciebie wstąpiło?

– On mnie obraził... obraził... Zabiję go za to... Zamorduję tego sukinsyna... Nie próbuj mnie powstrzymać, bo nie zdołasz... nie zdołasz, słyszysz?

Jim, nadal przytrzymując Tee Jaya pod ścianą, obejrzał się na drugiego chłopca, Elvina, który opierał się o umywalki. Z jego warg i nosa sączyła się krew.

– Elvin, nic ci nie jest?

Tamten zakaszłał i pokręcił głową. Jim zwrócił się do wysokiego, jasnowłosego chłopca stojącego w drzwiach toalety:

– Jason, weź Philipa i zabierzcie Elvina do gabinetu lekarskiego. A pozostali niech wynoszą się stąd do diabła!

To nie kabaret!

Ponownie odwrócił się do Tee Jaya. Chłopak wciąż trząsał się od nadmiaru adrenaliny i ani na chwilę nie odrywał wzroku od nauczyciela, pociągając nosem i szurając nogami. Jim nie poznawał go. Tee Jay był zazwyczaj taki spokojny i zrównoważony. Najwyższy w klasie i dość przystojny, jeśli pominąć ślady po trądziku na policzkach, doskonały koszykarz. Nie był zbyt bystry, ale żaden z uczniów w klasie Jima Rooka nie był zbyt bystry. Tee Jay zawsze jednak bardzo się starał i nigdy nie był przesadnie drażliwy. Przynajmniej do tej pory.

– Ochłoniesz wreszcie czy nie? – warknął Jim.

Tee Jay znów próbował się wyrwać i koszulka rozerwała się przy szyi.

– Nie, do cholery! Ten skur...

– Tee Jay, rany boskie! Wysłuchaj mnie, dobrze? Mógłbym kazać cię aresztować!

Chłopak jeszcze raz spróbował się wyrwać, ale potem odwrócił głowę i wbił wzrok w drzwi toalety.

– Tee Jay? No, Tee Jay! – odezwał się Jim uspokajająco i chłopak spojrział na niego oczami szklistymi od łez.

– Przepraszam – wykrztusił. – Chodziło o to, co powiedział mi Elvin. Nie mogłem...

– A co Elvin ci powiedział? – dopytywał się Jim. – Co mógł ci powiedzieć, żeby sprowokować cię do takiego zachowania?

- Nic. Nic nie powiedział.
  - Więc zacząłeś go bić bez żadnej przyczyny?  
Tee Jay otarł grzbietem dłoni zakrwawiony nos.
  - Powiedziałem „przepraszam”. W porządku?
  - Wcale nie jest w porządku. Mam z wami dość roboty, nawet jeśli nie zachowujecie się jak wściekłe psy. Zamierzam ci dokopać i zaprowadzić cię do doktora Ehrilchmana... On zdecyduje, czy będziesz mógł tu zostać, czy odejdziesz.
  - Człowieku, pobiliśmy się tylko. To wszystko.
  - Bijąc się, nie rozwiążesz żadnych problemów, Tee Jay. Myślałem, że masz wystarczająco dużo rozumu, żeby o tym wiedzieć.
  - Gdybym miał trochę więcej rozumu, nie byłbym w klasie specjalnej, nie?
- Jim puścił koszulkę Tee Jaya i cofnął się o krok.
- Dobra – rzucił. – Możesz iść. Skoro uważasz naukę w klasie specjalnej za poniżającą, to opróżnij swoją szafkę i idź do domu. Nie chcę w mojej klasie kogoś, kto sądzi, że spory można rozstrzygać, bijąc ludzi. I nie chcę w mojej klasie nikogo, kto nie jest dumny z tego, że do niej chodzi.
- Czekał przez chwilę, ale Tee Jay nadal stał przy ścianie, pociągając nosem. W końcu z wściekłością rąbnął pięścią o drzwi jednej z kabin.
- Jezu, Tee Jay! Pomyśl, co ryzykujesz! Nawet jeśli Elvin cię obraził, to co z tego? Nie mów mi, że jesteś taki

delikatny! Może chcesz siedzieć razem z dziewczynami?

– Nie wolno ci tak do mnie mówić, człowieku! – burknął Tee Jay.

– Ach tak? Więc o co chodzi? W tym semestrze zrobiłeś większe postępy niż ktokolwiek inny w mojej klasie. Kiedy przyszedłeś do tej szkoły, nie wiedziałeś, kim był Szekspir. Ledwie potrafiłeś czytać. Nie umiałeś dodawać. Myślałeś, że prezydent Waszyngton miał na imię Denzel. Pomyśl, jak daleko zaszedłeś. A teraz jesteś gotów odrzucić wszystko, czego dokonałeś... Z jakiego powodu? Z powodu próżności? I ty sądzisz, że zasługujesz na szacunek?

Tee Jay natychmiast znów wybuchnął gniewem.

– No właśnie! Zawsze pan tak robi! Poniża pan ludzi i robi z nich głupców! Udaje pan przyjaciela, ale przez cały czas śmieje się pan z nas za naszymi plecami.

– Wcale się nie śmieję, Tee Jay. Doprowadź się do porządku i wróć do klasy.

Chłopak podszedł do niego, powłócząc nogami.

– Mógłbym cię załatwić, człowieku.

– Dopiero teraz przyszło ci to do głowy? – zapytał Jim, wytrzymując jego spojrzenie. Nie potrafił zliczyć, ile razy jakiś zbuntowany nastolatek, stojąc przed nim, ostrzegał go w ten sposób. W ciągu siedmiu lat nauczania przystosowawczego został dźgnięty śrubokrętem w bark i stracił dwa zęby. Ponieważ jednak przez ten czas miał do



czynienia z prawie trzema tysiącami trudnych, zapóźnionych w rozwoju lub dyslektycznych dzieciaków, uważał, że i tak miał szczęście. Jego poprzednikowi przestrelono płuco.

Nastąpiła chwila napiętego oczekiwania. Tee Jay nigdy jeszcze nie stawiał się w ten sposób, więc trudno było przewidzieć dalszy rozwój wydarzeń.

Ale w końcu powiedział tylko „O kurwa”, jakby przestało go to wszystko obchodzić, wbił ręce w kieszenie i niedbałym krokiem wyszedł z toalety.

Jim odprowadził go spojrzeniem, a potem popatrzył na zbryzgane krwią lustro. Za czerwonymi smugami dojrzał swoją sylwetkę. Szczupły, ciemnowłosy, trzydziestoczteroletni mężczyzna o oczach barwy matowych zielonych górskich kryształów, z popołudniowym zarostem – chociaż była dopiero dziewiąta dwadzieścia rano. Wyraziste rysy nadawały jego twarzy nieco nawiedzony wygląd, jakby źle sypiał i wiecznie nie dojadł. Ubrany był w dżinsową koszulę z krótkimi rękawami oraz czerwono-zielony krawat w palmy i tancerki hula. Miał wąskie ramiona, a pasek zegarka, który nosił na nadgarstku, wydawał się dla niego za szeroki.

Czasami, szczególnie po takich awanturach jak ta dzisiejsza, zastanawiał się, co on, u diabła, robi, usiłując reformować niereformowalnych. Można było całe miesiące pracować nad takim uczniem jak Tee Jay – miesiące

powolnych postępów, trudu, dukania i ściskanych kurczowo ołówków – a potem nagle, z najidiotyczniejszego powodu, wszystko diabli brali i znów miał do czynienia z aroganckim, ordynarnym, głupim ulicznikiem.

Właśnie zamierzał wyjść z toalety, kiedy wydało mu się, że dostrzegł bardzo wysokiego mężczyznę przechodzącego korytarzem. Widział go zaledwie przez moment, bo nieznajomy szedł bardzo szybko i cicho, mimo że podłoga korytarza była pokryta gładkimi plastikowymi płytkami, po których raczej nie można było poruszać się cicho.

Jim wyszedł szybko z toalety i spojrzał w ślad za mężczyzną. Na tle słonecznych okien na końcu korytarza dostrzegł czarną sylwetkę – jeszcze wyższą, niż wydawała się na pierwszy rzut oka – w ciemnym luźnym garniturze i czarnym kapeluszu z szerokim rondem i niskim denkiem, przypominającym staroświeckie nakrycia głowy noszone przez Elmera Gantry’ego.

– Hej, mogę panu w czymś pomóc?! – zawołał, ale nieznajomy nie odpowiedział. – Przepraszam pana, czy mogę w czymś pomóc?! – powtórzył.

Tamten jednak skręcił za róg korytarza i zniknął.

Jim pobiegł za nim. Kiedy mijał zakręt, wpadł na Susan Randall, nauczycielkę geografii, taszczącą stos bezładnie ułożonych książek. Wypadły jej z rąk i jak kaskada poleciały na podłogę, szeleszcząc kartkami.

– Co ty wyprawiasz? Pędzisz jak koń w składzie

porcelany! – zawołała Susan z oburzeniem.

– Naprawdę mi przykro – powiedział Jim.

Zderzenie było tym bardziej krępujące, że Susan Randall bardzo mu się podobała, chociaż wciąż traktowała go podejrzliwie. Była brunetką o krótko przyciętych włosach, wydatnych ustach i figurze, która zapewniłaby jej rolę statystki w serialu *Słoneczny patrol*, a dzisiaj miała na sobie sweter w żółte paski, w którym wyglądała zabójczo. Nawet uczniowie gwizdali z podziwem na jej widok.

Uklęknął i pomógł Susan pozbierać książki, boleśnie świadom tego, jak wysoko uniosła się jej spódniczka, kiedy przykucnęła obok niego. Zerknął przez ramię koleżanki, ale korytarz był już pusty. Ani śladu mężczyzny w kapeluszu Elmera Gantry’ego.

– Czy... hm... widziałś tu kogoś, zanim wpadliśmy na siebie? – zapytał.

– Czy widziałam tu kogoś...? Kogo?

Boże, te perfumy. Kiedyś zadał sobie trud i sprawdził ich markę: Je Reviens. Dość drogie jak na kobietę utrzymującą się z pensji nauczycielki.

– Był tu jakiś wysoki gość w czarnym garniturze i kapeluszu. Nie mogłaś go nie zauważyć.

– Nie widziałam tu żadnego wysokiego gościa w czarnym garniturze i kapeluszu. W ogóle nie widziałam tu nikogo.

– Musiałaś...

– No cóż, przykro mi, Jim, ale nie. A teraz wybacz mi, muszę wracać do mojej klasy. Jestem i tak dziesięć minut spóźniona.

Złapał ją za ramię.

– Naprawdę nikogo nie widziałas?

– Nie, Jim. Naprawdę nikogo nie widziałam. A teraz przepraszam.

– No dobrze – mruknął i puścił jej ramię. Stał i patrzył, jak stukając obcasami, odchodzi do swojej klasy. – Ale chyba chodziło ci o słoń! – zawołał za nią.

Stała jak wryta.

– O czym ty mówisz? Jaki słoń? Naprawdę nikogo nie widziałam.

– Mówię o składzie porcelany. Nie chodzi o konia, tylko o słoń.

Susan zaśmiała się i on również się roześmiał. Ale kiedy poszła, znów zaczął spoglądać na pusty korytarz i zastanawiać się, w jaki sposób ten facet w kapeluszu Elmera Gantry’ego zdołał zniknąć. Nagle zrobiło mu się zimno, chociaż nie miał pojęcia dlaczego. Wyczuł też dziwną woń, która wcale nie przypominała zapachu Je Reviens.

Jeszcze raz rzucił okiem na korytarz, a potem poszedł powiedzieć woźnemu, żeby pościarał krew.

\* \* \*

Gdy wrócił do drugiej klasy specjalnej, Tee Jay i Elvin

siedzieli już na swoich miejscach, posiniaczeni i ponurzy. Elvin miał rozciętą wargę, a Tee Jay podbite lewe oko. Reszta uczniów gadała i wierciła się jak chmara szpaków na dachu. Kiedy Jim wszedł, wszyscy wstali, ale nie przestali rozmawiać. Zignorował to, bez słowa podszedł do okna, chwycił klamkę i otworzył je. Potem poszedł do swojego biurka i usiadł. Odchylił się na oparcie i splótł dłonie za głowę.

Przez dłuższy czas siedział, patrząc na uczniów i nadal nie mówiąc ani słowa.

Rozmowy powoli cichły. Jego milczenie wyraźnie działało dzieciakom na nerwy. Zazwyczaj wpadał do klasy i od razu zaczynał mówić, dziś jednak siedział, milcząc, w tej samej pozycji, jaką przeważnie przyjmowali oni: odchyłony na oparcie krzesła, z dłońmi splecionymi za głowę oraz opuszczonymi powiekami sygnalizującymi brak zainteresowania i niezmałony spokój.

Po paru minutach zapadła głęboka cisza. Mark Foley zachichotał, a jego sąsiad z ławki, Ricky Herman, prychnął pogardliwie, ale poza nimi wszyscy siedzieli w milczeniu.

W końcu Jim wstał i wyszedł zza biurka. Spojrzał na Tee Jaya i na Elvina. Potem po kolei popatrzył na każdego ze swoich uczniów. Było ich dziewiętnaścioro: od urzędującego w pierwszej ławce piegowatego Titusa Greenspana III w okularach z grubymi szklami, po siedzącą na końcu Sue-Robin Caufield ze strzeżoną jasnych włosów, w

opiętym wiśniowym podkoszulku. John Ng z Wietnamu Południowego – grzeczny, nieśmiały i ledwie rozumiejący, co ktoś do niego mówi; Beattie McCordic, zaciekle feministka z krótko przystrzyżonymi włosami, tatuażem i afazją wzrokową – chroniczną niezdolnością zapamiętywania, jak nazywają się różne rzeczy. Nie potrafiła na przykład powiedzieć „młotek”. Nie mogła zapamiętać tej nazwy. Zamiast tego mówiła: „ten kawałek metalu z rączką, używany do wbijania gwoździ”.

Był też David Littwin, żylasty, wysoki chłopak, który byłby pewnie przystojny, gdyby nie odstające uszy, jękający się tak bardzo, że wypowiedzenie jednego zdania trwało wieki. Rita Munoz, ciemnooka i ciemnowłosa dziewczyna o wargach szkarłatnych jak kwitnący tropikalny kwiat, która kwestionowała wszystko, co mówili nauczyciele, bo po prostu próbowała ukryć w ten sposób to, że niczego nie rozumie.

Wszyscy uczniowie Jima byli dzieciakami, które nie nadawały się do żadnej innej klasy. Byli zbyt agresywni, zbyt głupi, zbyt niedojrzali – lub po prostu mieli trudności z przyswajaniem wiedzy. Jim wiedział, że wielu z nich ma bardzo wysoki iloraz inteligencji. Wysokie IQ nic jednak nie daje, jeśli nie potrafisz lub nie chcesz go wykorzystać, lub jeżeli używasz go w sposób bezsensowny czy aspołeczny.

Jim podszedł prosto do biurka Tee Jaya i oparł się o nie

dłoni.

– Dzisiaj chcę porozmawiać o szacunku – zaczął. – Czy ktoś z was ma jakieś zdanie na ten temat?

Beattie McCordic natychmiast podniosła rękę.

– Doskonale, Beattie. Powiedz nam o szacunku.

– Szacunek jest wtedy, kiedy ludzie dają innym spokój. Na przykład jeśli kobieta siedzi w jednym z tych miejsc, gdzie podają mieszane napoje, i jakiś mężczyzna podchodzi do niej i zaczyna ją namawiać, żeby poszła z nim do łóżka, ona mówi „nie”, a on przestaje ją namawiać. To jest szacunek.

– Owszem, to dość sensowna definicja szacunku. Jeszcze ktoś chce coś powiedzieć?

John Ng podniósł rękę.

– Szacunek to odmawianie modlitw za przodków.

– Tak, oczywiście. Uznanie długu wobec ojców i praojców.

– Oraz matek i pramatek – wtrąciła Beattie.

– Tak, Beattie. Ale może przyjmiemy zasadę, że za każdym razem, gdy mówimy o ludziach, mamy na myśli również kobiety, nie tylko mężczyzn.

– Szacunek jest wtedy, kiedy nie jesz samym nożem – powiedział Ricky Herman.

– I gdy nie mówisz „kurwa” przy mamie – dodał Mark Foley.

– I nie bekasz publicznie ani nie drapiesz się po dupie

– dorzucił Ricky.

– I nie pierdzisz przy stole. Mój ojciec ma hopla na tym punkcie. „Czyżbyś pierdnął?”, pyta mnie, a ja odpowiadam: „Mam nadzieję, bo jeśli to zapach obiadu, to nie będę go jadł”.

Jim popatrzył na Tee Jaya i zapytał:

– A co z tobą, Tee Jay? Powiedz nam coś o szacunku.

Chłopak spuścił głowę i poruszał nerwowo stopami.

– No, Tee Jay. Myślałem, że jesteś klasowym ekspertem w tej dziedzinie.

Jim czekał, uśmiechając się lekko, ale nie doczekał się odpowiedzi, wrócił więc za biurko. Beattie miała pewnie trochę racji. Szacunek polega również na tym, żeby pozostawiać innych w spokoju – a właśnie tego chciał Tee Jay.

– W osiemnastym wieku żył we Francji pisarz, Wolter, który napisał: *Żywym winniśmy szacunek, ale martwym wyłącznie prawdę* – powiedział Jim. – No cóż, nie zgadzam się z tym. Umarli zrobili już wszystko, co mieli do zrobienia. Możemy szanować ich osiągnięcia, ale jaki sens ma krytykowanie ich niepowodzeń, skoro już nigdy nie będą mieli okazji za nie przeprosić ani ich naprawić? Natomiast żywi mają jeszcze okazję wszystko naprawić i dlatego jesteśmy im winni raczej prawdę. Jeśli któryś z waszych przyjaciół zrobi coś złego, jeśli zacznie przeklinać swoich rodziców, bić młodsze dzieci, zabierać im pieniądze lub palić crack, a wy powiecie mu: „Jesteś idiotą.



Bezmózgowcem. Marnujesz życie”, będzie to prawda. I ten wasz przyjaciel nie będzie zasługiwał na szacunek, dopóki się nie zmieni, bo na szacunek trzeba sobie zasłużyć.

Tee Jay odwrócił głowę i groźnie spojrzał na Elvina.

– Spokojnie – powiedział ostrzegawczo Jim i chłopak usiadł prosto. – Chcę, żebyś otworzył książkę na stronie trzydziestej siódmej i przeczytał drugi akapit.

Tee Jay otworzył *Pierwszą czytankę* i przez chwilę siedział w milczeniu.

– No? – ponaglił go Jim.

– No właśnie przeczytałem. Aż do końca – odparł chłopak.

– Chciałem, żebyś przeczytał ten akapit na głos.

Tee Jay, zacinając się, przeczytał fragment tekstu, wodząc palcem od słowa do słowa. Lewe oko miał już całkiem zapuchnięte, więc musiał przechylać głowę na bok.

– *Ten czas... wymaga... aby Ameryka nauczyła się... lepiej wy... wyko...*

– Wykorzystywać. Lepiej wykorzystywać – pomógł mu Jim.

– *...lepiej wykorzystywać swoje... największe bogactwo...*

Jim wziął od chłopaka książkę i dokończył za niego:

– *...rzesze swoich godnych szacunku i lojalnych obywateli, których dobre imię winna chronić i w razie potrzeby oczyszczać z plamiących je zarzutów, aby rozbłyły*

*nowym i jaśniejszym blaskiem.*

Odłożył książkę.

– Tak Walt Whitman mówił o Thomasie Painie, a jeśli kiedykolwiek jakiś człowiek zasługiwał na szacunek, był nim właśnie Thomas Paine. Ryzykował życie, walcząc o równość i sprawiedliwość oraz o wszystko, co uważał za słuszne... – Przerwał na chwilę, a potem dodał, spoglądając prosto na Tee Jaya: – Jeśli będziecie tak postępować, wy również będziecie zasługiwali na szacunek.

\* \* \*

Skończywszy lekcję, Jim zabrał się do sprawdzania prac domowych z poprzedniego dnia. Uczniowie mieli napisać liczącą trzysta słów charakterystykę Ripa van Winkle’a. Nigdy nie zadawał wypracowań dłuższych niż trzysta słów, bo niektórzy z jego uczniów z trudem pisali dwadzieścia przez godzinę. *Stara van Winkle wciąż mu mękolila, więc poszedł do lasu, tyknął sobie coś i obudził się dwadzieścia lat później, kiedy już nie żyła, więc miał spokój.*

Inni pisali po sześćset słów niezrozumiałych bzdur. *Lu-dzie mówili że burze to burze ale nie bo to były raczej te goblinopodobne stwory grające w kręgle i pod Ripem ugi-nały się kolana.*

Beattie McCordic zrobiła oczywiście z jędzowatej żony Ripa van Winkle’a wzór feministki: *Był typowym, nic niewartym facetem, który niczym się nie przejmował i nie*

*zamierzał wziąć się do żadnej pracy, a tymczasem całe to opowiadanie obwinia jego żonę o to, że mu dokuczala, usiłując nakłonić go do jakiejś roboty. Nawet jego pies w tym opowiadaniu uważa, że gość ma pieskie życie, ale co taki pies wie? Poza tym ten pies był samcem, a co oni wiedzą (mówię o samcach)?*

Pomimo tych niedociągnięć w pracach wszystkich uczniów Jim wyczuwał jednak prawdziwą chęć zrozumienia problemu i upartą żądzę wiedzy. Byli jak ludzie zamknięci w ciemnym pokoju, usiłujący po omacku dotrzeć do drzwi. Czasem miał ochotę zapłakać nad tym, co pisali – nie z rozpaczy, lecz ze współczucia.

*Rip van Winkle pozwolił, ażeby jego dzieci nigdy nie miały butów, a synowi wciąż spadały spodnie – do tego sprowadzał się sens wypracowania Marka Foleya, ale Jim wiedział, co w opowiadaniu wywarło na Marku największe wrażenie: niefrasobliwy, leniwy ojciec, który nigdy nie zajmował się dziećmi ani nie dawał na nie pieniędzy, tak że jego syn musiał nosić podarte pludry, które z trudem przytrzymał jedną ręką, jak dama tren sukni w niepogodę.*

Mark wyniósł z domu podobne doświadczenia, więc historia Ripa van Winkle'a była dla niego czymś więcej niż tylko literaturą – znał ją z autopsji, a teraz po raz pierwszy próbował wypowiedzieć się poprzez fikcję literacką.

Kto wie, pomyślał Jim, zamykając zeszyt Marka i

kładąc go do koszyka SPRAWDZONE – może właśnie jemu sądzone jest zostać kiedyś nowym Washingtonem Irvingiem?

Zabierał się do wypracowania Rity Munoz (napisanego jak zwykle dużymi literami i kolorowymi flamastrami), kiedy przypadkiem spojrzął przez okno. Na zewnątrz było oślepiająco jasno, mimo to widział dobrze całe podwórze, aż do budynku kotłowni. Tuż pod jej ścianą grupka chłopców grała w koszykówkę, a Sue-Robin Caufield opierała się o poręcz ławki, rozmawiając z Jeffem Griglakiem, kapitanem szkolnej drużyny lekkoatletycznej i jednym z najlepszych uczniów, jacy od wielu lat uczęszczali do Westwood Community College. John Ng siedział na drugim końcu ławki, wyjadając coś z kartonowego pudełka i czytając *Wyspę skarbów*.

Nagle drzwi kotłowni otworzyły się i stanął w nich wysoki mężczyzna w kapeluszu Elmera Gantry'ego. Zatrzymał się na moment, spojrzął w lewo i w prawo, jedną uniesioną dłonią osłaniając oczy przed słońcem, a potem pospiesznie przeciął na ukos szkolne boisko i zniknął za budynkiem. Drzwi kotłowni zostawił otwarte na oścież.

Dziwne, ale wydawało się, że żaden z przebywających na podwórzu uczniów go nie zauważył. Żaden z grających w piłkę chłopców nie przystanął nawet na chwilę, a Sue-Robin nadal flirtowała z Jeffem Griglakiem. Jej włosy falowały i błyszczały w świetle późnego ranka.

Jim zmarszczył brwi, podniósł się zza biurka, podszedł do okna i osłonił oczy dłońmi. Oprócz otwartych drzwi kotłowni wszystko wyglądało normalnie. A jednak...

Mimo tego pozornego spokoju Jim miał wrażenie, że stało się coś złego. Czuł się tak, jakby spoglądał na obraz celowo zaprojektowany w ten sposób, żeby zbijać z tropu; jak malarstwo René Magritte'a lub rysunki M.C. Eschera przedstawiające niekończące się schody. Opuścił klasę i szybko przeszedł korytarzem do wahadłowych drzwi prowadzących na zewnątrz.

Wokół słychać było śmiechy, gwar i krzyki, ale Jim nie zwracał na nic uwagi. Przeszedł przez środek boiska, odbił piłkę, która wpadła mu w ręce, i doszedł do drzwi kotłowni.

Zajrzał do środka. Dostrzegł poręcz i cementowe stopnie wiodące do kotłów, resztę pomieszczenia skrywał jednak mrok.

– Hej, jest tam ktoś?! – zawołał Jim.

Nasłuchiwał przez chwilę, ale nie doczekał się odpowiedzi. Zawołał ponownie, lecz i tym razem nikt mu nie odpowiedział. Podejrzewał, że mężczyzna w kapeluszu Elmera Gantry'ego wszedł tutaj, żeby coś ukraść – a może chciał wyrządzić jakieś szkody? Kilkakrotnie zdarzało się, że byli uczniowie wracali, by zemścić się na szkole, którą obwiniali o swoje niepowodzenia. Musieli zrzucić na kogoś lub na coś winę za swoją nieumiejętność radzenia

sobie w życiu.

Jim włączył górne światła i rozejrzał się wokół. W kotłowni unosił się silny zapach dymu i gazu, ale dwa pomalowane na szaro duże kotły wydawały się nietknięte. Żadnych wyrwanych zaworów, żadnych uszkodzonych rur. Jim już miał zgasić światło i wyjść, kiedy w cieniu między kotłami dostrzegł jakiś błysk: czarną, lśniąca strużkę płynącą po podłodze. Wyglądała jak wyciekający skądś olej. Zszedł po schodach, podszedł do zbiorników i przykucnął.

Oleisty płyn popłynął już tak daleko po posadzce, że prawie dotknął jego buta. Jim zanurzył w nim palec, obejrzał go uważnie i nagle poczuł zimny dreszcz przebiegający mu po krzyżu. To nie był olej. Ciecz wydawała się czarna na tle cementowej podłogi, ale na palcu okazała się ciemnoczerwona.

Jim wyteżył wzrok, usiłując dojrzeć coś w ciemności. Pogmerał w kieszeni i znalazł pudełko zapalek z meksykańskiej restauracji El Torito. Kiedy zapalił jedną, rozbłysła na moment, ale jedynie oparzyła mu kciuk. Pożałował, że nie wziął latarki. Pod zbiornikami coś było – jakiś ciemny, podłużny kształt – lecz nic więcej nie zdołał dostrzec.

Zaczął przeciskać się między zbiornikami, wyczuwając sobie drogę. Było tu tak gorąco, że zanim zdołał posunąć się jakieś trzy kroki naprzód, pot ściekał mu z czoła i koszula lepiała się do pleców.

Miał wrażenie, że słyszy bulgoczący jęk, więc zatrzymał

się i nasłuchiwał, chociaż szum kotłów wszystko zagłuszał.

Zapalił kolejną zapalną i krzyknął:

– Czy jest tu ktoś?!

Znów usłyszał ten bulgoczący dźwięk. Jakby ktoś usiłował mówić, pijąc wodę ze szklanki.

Powolutku posuwał się naprzód, aż nagle dotknął czegoś ciepłego i mokrego.

– O Boże! – krzyknął i cofnął się gwałtownie.

Zapalił następną zapalną, a od niej kilka pozostałych, żeby razem dały jaśniejsze światło. Na betonie przed Jimem leżał Elvin, którego rozpoznał tylko po podkoszulku z emblematem Dodgersów, mokrym od krwi. Chłopiec był poraniony – na ramionach, na twarzy, na całym ciele, jakby ktoś chciał podziurawić każdy skrawek jego ciała. Rany wyglądały jak rozwarte pyski wyrzuconych na brzeg ryb.

Wyczuwając ciepło palących się zapalek, Elvin usiłował podnieść rękę. Wydał jeszcze jeden charczący dźwięk – ale był to już ostatni bulgoczący wydech powietrza i krwi z przeбитych płuc. Kiedy zapalną dopaliły się i światło zgasło, Elvin zgasł również i Jim pozostał sam w ciemności między huczącymi kotłami.

Chwycił lepką od krwi dłoń chłopca, uściśnął ją i szepnął:

– Pozostań z Bogiem, Elvin. Tak cholernie młodo... – Nie zdołał wykrztusić nic więcej.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiazka.pl](http://taniaksiazka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).